

Suma kątów

Na początku był kwadrat. Co prawda zdanie to daje się zanegować zarówno z perspektywy teologicznej, jak i w kontekście kariery Kazimierza Malewicza – bo ani figura geometryczna nie stoi u podstaw wszelkiego bytu, ani triumfalny pochód rosyjskiego malarza nie rozpoczyna się w momencie powstania jego najsłynniejszego dzieła. Jednak wystarczy zawierzyć logice „Kierunku zwiedzania”, żeby stać się zagorzałym wyznawcą kłamliwego przecież stwierdzenia. Otóż na początku rzeczywiście był kwadrat – przynajmniej z dwu powodów.

Rzecz w tym, że Marcin Wicha uparcie rozmontowuje literacką zasadę przyczynowości oraz – siłą rzeczy – zasady biografizmu (to powód pierwszy). A wszystko po to, żeby rzeczywistym tematem książki uczynić ultraindywidualny tok własnej myśli (to powód drugi). W tym układzie Malewiczowski kwadrat nie staje się tylko jednym z wielu punktów do odhaczenia w biografii, lecz faktycznym początkiem, obsesją, refrenem, motorem napędowym – za każdym razem ściśle przyległym do zamiarów Wichy. W zamierzeniu autora idzie nie tyle o obiektywne sprawozdanie z życia artysty, ile o przerobienie własnych pisarskich obsesji. Całość pochłania się zachłannie, bo tekst wyrasta z tego samego pytania, z którym podchodzi do lektury chyba każdy laicki czytelnik biografii Malewicza: co kłębiło się w głowie malarza, który poświęcił życie na nierówną walkę abstrakcji przeciwko realizmowi, a za oręż wybrał geometrię?

Pisarski gest Wichy wyzwala więc ten sam rodzaj przyjemnej irytacji połączonej z ciekawością, które każą kolejnym pokoleniom licealistów głowić się nad zagadką „co autor miał na myśli?”. Z tym że „Kierunek...” nie jest szkolną próbą utrafienia w klucz odpowiedzi, tylko bystrym potokiem zdań najzdolniejszego ucznia w klasie, który przekuwa na swoją korzyść fakt, że na tak postawione pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Meandruje więc po tych obszarach, w których sam czuje się najpewniej. I tu dochodzi do głosu dykcja opanowana za sprawą poprzednich książek Wichy, nastawiona na obracanie słowem jak najlepszą walutą – pomnażanie („A on, że on to on. A on to ho, ho. Bo jego, bo z nim, bo jemu”), inwestowanie w ryzykowne porównania („Burżuje są okrągli. (...) Proletariusze są ostrokątni”), lokowanie kapitału w rzadkich leksemach (blejtrama, tralka, eternit).

Mamy więc słowo – czyli czarno na białym, zupełnie jak kwadrat Malewicza – zawsze niejednoznaczne, dające się włączać w każdą dyskusję, mające nieograniczony potencjał. I pisarza albo artystę, który ten potencjał kanalizuje – mierzy się z szeroko pojętym znakiem jako tworzywem alternatywnych światów. Jeśli w ten sposób odczytywać zależności między twórcą a jego sposobem wyrazu, to w Malewiczu można by odnaleźć pokrewieństwo z Wichą. Obaj dzielą poczucie pewnego wyczerpania. Ten pierwszy – wyczerpania malarstwa realistycznego, ten drugi – wyczerpania gatunku klasycznej biografii. Tak jak Malewiczowski znak-kwadrat odpowiadał na „rozsypanie się świata”, tak znak-słowo Wichy reaguje na odstawanie formy biografii od istoty rzeczy. Czyli od faktu, że ideał *mimesis* jest nieosiągalny, a obiektywne narracje nie istnieją. Prawidła gatunkowe są tym dla literatury, czym dla sztuki jest drzeworyt – surowym wzorem zdolnym wytworzyć co najwyżej powtarzalne obrazy.

To dlatego Wicha przekazuje narratorską pałeczkę niezbornemu przewodnikowi po wyobrażonym muzeum. Jego artykułowane wersalikami wtrącenia mają grubą kreską oddzielać czytelnicze oczekiwania wobec biografii od jej realnej niemocy w kwestii odwzorowania świata. Z każdym kolejnym „A JESZCZE NIE POWIEDZIAŁEM NAJWAŻNIEJSZEJ RZECZY” i „PAŃSTWO ZWRÓCĄ UWAGĘ” widzimy przecież, że za chwilę pada właśnie coś mało ważnego albo coś, na co wcale nie warto zwracać uwagi. Narrator brzmi jak długoletni przewodnik po muzeum, którego i tak już nie zwolnią z ciepłej posadki, więc nic się nie stanie, gdy tu pominie parę obowiązkowych punktów wycieczki, a tam odpłynie w obszerną dygresję.

Zamaszyście wykreślając kolejne biograficzne aksjomaty, a nawet wprost przyznając, że celuje raczej w jakiś nowy gatunek literacki (póki co pożyczono dla niego określenia: „wystawa” czy „budynek”), Wicha stawia się w pozycji rzecznika awangardy. To – kolejne już – pokrewieństwo z Malewiczem potwierdza kilka entuzjastycznych reakcji krytyków i krytyczek wraz ze zwyczajową atmosferą podniecenia towarzyszącą premierze kolejnej książki eseisty. Łatwo (i rzeczywiście przyjemnie) jest dać się omamić wychodzącej przed szereg osobowości autora, zwłaszcza że całość napędza wartki potok krótkich zdań przetykanych lingwistycznymi zabawami i figlarną interpunkcją. Pytanie tylko, czy trochę się nie pospieszyliśmy z tą awangardą i osobnością? Czy przypadkiem Wicha nie robi z Malewiczem dokładnie tego, co dziesięć lat temu z Flaubertem zrobiła Renata Lis w „Ręce

Flauberta”? Albo czy zabaw słownych w służbie osobistej perspektywy nie powtarza po prostu po Białoszewskim i Karpowiczu?

Efektowny koncept gubi go więc w momentach największej pewności siebie. Wtedy, gdy tekst przeszczepia dawne wzorce w najbardziej swoisty dla Wichy sposób. Na przykład gdy popada w spiralę wiecznego cyzelowania fraz („Niedźwiedź wygląda jak zwierzę w cyrku. Miś na piłce. Na postumencie” – korygowania samego siebie nie dla pogłębienia refleksji o temacie, ale dla zbudowania potężniejszego monumentu ze słów. Już po kilkunastu stronach jęśliwa fraza ryje w głowie tyleż wciągający, co łatwy do przewidzenia rytm. Takie omamienie łatwo zaś pomylić z uwiedzeniem. A w momencie, gdy odkrywamy tryby projektu Wichy, zaczyna się on wydawać nazbyt wykoncypowany.

Autor, który tak otwarcie emigruje z gatunkowej formy, manifestuje przede wszystkim wiarę w indywidualny twórczy gest. Opowiadać o czyimś życiu znaczy wówczas zrezygnować z niemożliwej ambicji cało-pisania na rzecz jedynej możliwej biografii – tej z przedrostkiem „auto-”. Bo jeśli coś w nieidealnie efektownym „Kierunku zwiedzania” trafia w samo sedno, to właśnie przypomnienie, że pisać to za każdym razem opowiadać siebie.